

VALENTIN  
MUSSO

ZIMNE  
POPIOŁY



# PROLOG

*Soulanges, departament Marna, 1999*

O wiele później Érika Fabre opowie śledczym, że od razu się zorientowała, że coś jest nie w porządku.

Kiedy wjechała samochodem w aleję, zauważyła, że „panienka” nie czeka na nią, siedząc na tarasie przed domem, jak w każdy piątek o tej właśnie porze, w swoim niezniszczalnym, wyblakłym od słońca i deszczu rattanowym fotelu. Wszyscy, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, nazywali ją „panienką”, chociaż ten przydomek miał w sobie coś dziwnego, jako że nawet ci, którzy znali ją od ponad dwudziestu lat, zawsze uważali ją za leciwą. Zwłaszcza dotyczyło to dzieci, według których to słowo zupełnie nie pasowało do starej panny i które zastanawiały się, jakim cudem można tak nazywać osiemdziesięcioletnią kobietę.

Nazywała się, tak naprawdę, Nicole Brachet. Érika Fabre mieszkała w odległości niecałych trzech kilometrów w linii prostej od jej farmy. Mówiło się „farma”, ale chodziło po prostu o dom wzniesiony po wojnie na pozostałościach rozpadających się zabudowań gospodarczych. Budynek w kształcie litery „L”, zacienione i ograniczone kilkoma drzewami podwórze, zavalona czym popadnie wiata, jakby doklejona do głównego budynku... Pomimo licznych dziwactw starszej pani, na przykład wyraźnej

skłonności do powtarzania się i trochę gburowatego zachowania, Érika bardzo się z nią zaprzyjaźniła, ponieważ zrozumiała, że pod tą szorstką powłoką kryje się żywa inteligencja i dużo ludzkiego ciepła.

Wkrótce po ukończeniu studiów jej mąż postanowił rozpocząć pracę na wsi jako weterynarz, wstępując do liczącej już kilku wspólników spółki. Młodzi małżonkowie zamieszkali dwa lata wcześniej niedaleko miasteczka Soulanges. Od tamtej pory Érika właściwie nie rozglądała się za pracą, mąż za bardzo na nią w tym względzie nie naciskał, dlatego że chcieli przede wszystkim jak najszybciej spłodzić dzieci i założyć rodzinę, a on zarabiał całkiem przyzwoicie na ich utrzymanie. Ona jednak wciąż nie mogła zająć się ciążą i chociaż dodatkowa pensja nie była jej w sumie do niczego potrzebna, pragnęła kontaktów towarzyskich, nawiązała znajomości i dobre sąsiedzkie stosunki z ludźmi z okolicznych wiosek. Z kolei Nicole Brachet żyła prawie w całkowitym odosobnieniu i pomimo dzielącej je różnicy pokoleń te dwie kobiety w końcu się odnalazły.

W każdy piątek, punktualnie o godzinie 9.30, Érika przyjeżdżała po nią samochodem, aby udać się razem na zakupy do najbliższego supermarketu położonego przy drodze do Châlons, gdzie zresztą spotkały się po raz pierwszy. Kiedy zdarzało się, że spóźniła się zaledwie o kilka minut, musiała się liczyć z dosyć gwałtowną reprimendą ze strony Nicole, ale nie przejmowała się tym zanadto, tak jakby strofowała ją babcia, której rzęczenia słucha się jednym uchem, a wypuszcza drugim.

Érika zaparkowała peugeota równolegle do tarasu. Rzuciła okiem na zegarek, była 9.33. Po raz pierwszy zdarzyło się, żeby „panienka” nie czekała na nią przed domem, szczerze opatulona, trzymając mocno w każdej dłoni niezniszczalne, płócienne siatki na zakupy.

Dziewczyna postukała palcami w kierownicę, nie tyle z niecierpliwości, ile raczej żeby wyciszyć zdenerwowanie: wiedząc, jak leciwa jest Nicole, najmniejsze choćby opóźnienie wywoływało u niej niepokój. Szybko wysiadła z samochodu i wspięła się po zarośniętych mchem schodach prowadzących na taras. Podeszła najpierw do okna w kuchni – tam gdzie Nicole spędzała najwięcej czasu i gdzie były największe szanse, żeby ją znaleźć. Érika zabębniła energicznie w szybę. Przykleiła do niej twarz i osłoniła dłońmi oczy przed światłem, żeby zobaczyć, co się dzieje w środku.

– Panienko, to ja, Érika! Jest tam pani?!

Po chwili ujrzała na podłodze kawałki różnokolorowego szkła, lśniące jak malutkie otoczaki leżące na dnie koryta rzeki. Nagle jej serce wypełnił potworny strach. Bez zastanowienia wpadła do domu, wciąż wołając donośnie starszą panią.

Na widok salonu przeżyła szok. Wszystko było w totalnym nieładzie: poprzewracane meble, wysunięte szuflady, porozbijane lampy i bibeloty, zupełnie jakby ktoś dla czystej przyjemności chciał wszystko dokumentnie zniszczyć. A jednak panował tu całkowity spokój, jak cisza, która po bitwie zalega nad polem walki.

Érika przeszła przez salon i udała się czym prędzej do kuchni, nie zwracając zupełnie uwagi na grożące jej być może niebezpieczeństwo. Pod jej stopami chrzęściły jakieś skorupy i drobne kawałki zastawy. Wszystkie rzeczy ze stołu zostały zrzucone na podłogę. Nigdzie jednak ani śladu Nicole.

Wyszła z kuchni i zamierzała wejść na piętro, gdy nagle jej uwagę przyciągnęło miauczenie kotki, dochodzące z tyłu domu, z części, która służyła jednocześnie za spiżarnię i skład rupieci. Przeszła kilka kroków ciemnym korytarzem do uchylonych drzwi graciarni. Zwierzak wysunął najpierw pyszczek przez

szparę, po czym otarł się o nogę Érika.

– No i jak się masz, ślicznotko? – odezwała się Érika do kotki, aby się uspokoić, i przesunęła dłonią po jej gęstym futrze.

Kotka żałośnie zamiauczała i czmychnęła do salonu. Ze ściśniętym ze strachu żołądkiem Érika oparła się jedną ręką o framugę, a drugą ręką pchnęła drzwi.

Chciała krzyknąć, lecz żaden dźwięk nie był w stanie wydobyć się z jej ust. Ujrzała Nicole Brachet zastygłą w bezruchu, siedzącą na krześle z zawiązanymi z tyłu rękami. Jej spuszczone głowa zwisała bezwładnie, opierając się na piersi tak, że widać było jedynie zlepione od zaschniętej krwi, rozpuszczone w nieładzie włosy, które skrywały twarz. Wygięte nogi „panienki” zeszytywniały w groteskowej pozie. Jakby całe jej ciało zasuszyło się i skurczyło w sobie.

Érika poczuła lodowaty powiew na karku. Przez sekundę miała wrażenie, że robi jej się słabo, ale wiedziała, że musi działać, i to dodało jej sił, podbiegła więc szybko do starszej pani. Delikatnie uniosła jej głowę: oczy staruszki były zamknięte, a trupio blada twarz zastygła w śmiertelnym grymasie.

– Nicole, Nicole – nie przestawała powtarzać, zanosząc się łkaniem.

Kompletnie bezsilna Érika pobiegła do salonu, aby zadzwonić na pogotowie, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że nic się już nie da zrobić.

# 1

Szczęśliwi ludzie nie mają historii.

Przez długi czas sądziłem, że moja rodzina należy do tych właśnie, którym nigdy nic złego przydarzyć się nie może. Dzieciństwo spędziłem pod kloszem. Zresztą słowo *szczęśliwy* nie wydaje mi się słowem odpowiednim, tak bardzo bowiem to, co później nazywać będę szczęściem, wydawało się wówczas integralną i niezmienną częścią mojej egzystencji. W szkole zdarzało mi się czasem dostrzec w spojrzeniach kolegów, z którymi życie nie obeszło się tak łaskawie, odrobinę zazdrości, coś zapewne prawie niemożliwego do wychwycenia i co można by rzucić na karb paranoi, ale nawet oko dziecka potrafiło w zadziwiający sposób to zauważyć. Na ludzi patrzyłem obojętnie, by nie rzec – z pogardą, niewrażliwy na wszelkie nieszczęścia, które mogły dotyczyć wszystkich wokół mnie. Ostatecznie i bezsprzecznie dzieci są istotami, które niewinność czyni okrutnymi.

Gdy miałem już wejść w wiek dorosły, w moim życiu dokonała się gwałtowna zmiana. U mojego ojca, który miał wtedy czterdzieści sześć lat, wykryto nowotwór. Zginął kilka miesięcy potem w głupim wypadku samochodowym. Nikt nie

odważył się wysunąć przypuszczenia, że ojciec postanowił z sobą skończyć. Najmniejsze choćby podejrzenie, że mogło to być samobójstwo, było dławione w zarodku, zapewne dlatego, że zmusza do zbyt wielu pytań, których nikt nie ma ochoty sobie zadawać. Dopiero później podsłuchałem rozmowę, podczas której ktoś ze współczuciem analizował złowróżbne znaki, jakie pozwoliłyby zapobiec katastrofie, chociaż nikt chyba nie zdawał sobie sprawy, że przyznanie, iż takie znaki rzeczywiście istniały, oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko potwierdzenie hipotezy o samobójstwie.

Anna, moja młodsza siostra, nigdy nie pozbierała się po jego odejściu i wpadła w długotrwałą depresję. W przedziwny sposób, jak za sprawą naczyń połączonych, jej zła kondycja psychiczna przesłoniła mój smutek i, jak mi się wydaje, nie miałem czasu, by w pełni przeżyć żalobę po ojcu. W tamtym czasie zacząłem wierzyć w metempsychozę: byłem przekonany, że ci, którzy byli kiedyś zbyt szczęśliwi, któregoś dnia będą musieli za to w taki czy inny sposób zapłacić, niekoniecznie w innym życiu. Tak więc przyszło mi raptownie pożegnać się z naiwnym i świadomie egoistycznym żółtodziobem, jakim mogłem być do tego czasu; równie raptowna była przemiana, która sprawiła, że zmieniło się moje ciało i zyskałem wygląd dorosłego mężczyzny, w którym nie rozpoznawałem siebie. Sam już nie wiem, kto powiedział, że jedyna oznaka mijającego czasu sprowadza się do bolesnego przebudzenia, kiedy to pewnego dnia, stojąc przed lustrem, odkrywamy kogoś nam zupełnie nieznanego.

Ten gwałtowny zwrot w mojej egzystencji nie pozostał zapewne bez wpływu na moją głęboką niezdolność do trwałych relacji miłosnych. Wchodziłem więc w kolejne związki bez żadnej przyszłości, nawiązywałem kontakty tyleż burzliwe, ile

krótkotrwałe... Aż do dnia, w którym spotkałem Laurence. W skali Richtera stosowanej przeze mnie w odniesieniu do uczuć to było niszczycielskie trzęsienie ziemi. Ponieważ jednak wszystko jest relatywne, zwłaszcza w miłości, uczucia, jakie jej okazywałem, tak samo zresztą jak i moje zaangażowanie w nasze wspólne życie, musiało jej się wydawać niewystarczające. Na tym polega największy dramat osób emocjonalnie okaleczonych: mają one bezustannie wrażenie, że zadają sobie gwałt i przekraczają własne granice przy całkowitej obojętności otoczenia, a do tego nikt nie jest im wdzięczny za podejmowane przez nie wysiłki.

Nasz związek trwał cztery lata, w których trafiały się chwile lepsze i gorsze, wiele było nie tyle nawet autentycznych kłótni, co raczej nieporozumień, rozstań i kruchych pojednań. Z tej naszej historii urodził się mały Victor. Dziecko nad wyraz spokojne i do tego byliśmy podobni do siebie jak dwie krople wody. To jakże zaskakujące dla mnie fizyczne podobieństwo stało się dla Laurence wystarczającym powodem, aby zachowała dla mnie, nawet po tym, jak się rozstaliśmy, życzliwą wyrozumiałość i pokłady głębokiej czułości.

– Wiesz co? – powiedziała do mnie pewnego dnia. – Tak długo, jak nie pogodzisz się z samym sobą i od czasu do czasu przynajmniej sobie trochę nie odpuścisz, tak długo nie będziesz w stanie nikogo pokochać.

W innych okolicznościach takie zdanie, jak można by sądzić, wyjęte z życiowego poradnika napisanego przez niedzielnego filozofa, wywołałoby u mnie jedynie wybuch śmiechu, ale ponieważ dotyczyło mnie, wcale nie wydało mi się zabawne.

Nigdy nie miałem zamiłowania do powieści. A ta opowieść, jestem tego pewien, będzie jedyną, jaką kiedykolwiek napiszę. Dlatego że to nie tylko opowieść. To moje życie.



## 2

### *Paryż, 1999*

Anna zostawiła dla mnie dwie wiadomości.

Najpierw chyba próbowała mnie złapać w liceum, ale z powodu pożałowania godnej pomyłki poinformowano ją, że tego akurat dnia nie pracuję. Usiłowała więc dodzwonić się do mnie do domu, ale i w tym przypadku bezskutecznie.

– Aurélien, zadzwoń do mnie jak najszybciej, proszę. Chodzi o Abuela. – Taka była mniej więcej treść pierwszego telefonu.

Następna wiadomość była już znacznie bardziej precyzyjna. Anna informowała mnie, że nasz dziadek od strony ojca miał wylew, że jest teraz w śpiączce, w bardzo ciężkim stanie. Powiedziała też, że zamierza pojechać do Marny samochodem i jeśli chcę się z nią skontaktować, mam dzwonić bezpośrednio do Arvillières.

Było to w czwartek, 8 kwietnia 1999 roku, mój dziadek obchodził w zeszłym miesiącu dziewięćdziesiąte urodziny.

Wiadomości dotarły do mnie około godziny osiemnastej, już po zajęciach. W tamtym czasie ani Anna, ani ja nie mieliśmy telefonów komórkowych. Natychmiast wykręciłem jej numer w Paryżu i odebrała jej współlokatorka Ophélie, koleżanka z

École du Louvre\*, która nie wiedziała wiele więcej. Powiedziała, że właśnie wróciła do domu i zastała krótką wiadomość, którą moja siostra zostawiła jej w pośpiechu. Potem zadzwoniłem do domu dziadka w Marnie, ale nikt nie podnosił słuchawki. Pomyślałem, że Anna jest wciąż jeszcze w drodze, a Alice pewnie w szpitalu.

W piątek miałem tylko trzy godziny zajęć. Poinformowałem administrację liceum o mojej prawdopodobnej nieobecności i poprosiłem sekretarkę, żeby przekazała uczniom temat wypracowania, które mają napisać w czasie tych wolnych godzin.

Na dworcu Montparnasse kupiłem bilet do Châlons-en-Champagne. Spędziłem trochę czasu, włączając się bez celu po ulicach Paryża jak w transie, świadomy już, mimo niewielu informacji, jakimi dysponowałem, że coś w naszym życiu pękło.

Czekałem na telefon od Anny, siedząc w kuchni w towarzystwie kota z mojej dzielnicy, któremu najpierw zostawiałem resztki jedzenia na moim wąskim balkoniku, aż w końcu po prostu go przygarnąłem. Nazwałem go Wieczornym Gościem, bowiem często widziałem, jak o zmierzchu przemyka zwinnie po balustradzie, omijając zarośnięte skrzynki i donice.

Anna zadzwoniła do mnie około godziny dwudziestej pierwszej. W jej głosie, bardziej niż smutek, wyczuwałem coś, co przypominało raczej zagubienie:

– Aurélien, tak mi ulżyło, gdy cię usłyszałam.

Nie powiedziała, że się cieszy, tylko że jej ulżyło. W pierwszej chwili nie zwróciłem tak naprawdę uwagi na to drobne przesunięcie leksykalne, o którym miałem sobie przypomnieć znacznie później.

---

\* Elitarna szkoła wyższa kształcąca historyków sztuki i archeologów.

– Jak tam siostrzyczko, w porządku? Jesteś w Arvillières?  
– Przyjechałam po południu, około czwartej, przed chwilą wróciłyśmy ze szpitala.

– Alice jest z tobą?

– Jest obok w salonie. A ja siedzę w gabinecie Abuela.

Abuelo... to hiszpańskie zdrobnienie, jakiego używaliśmy zawsze, mówiąc o dziadku, było najbardziej żywotnym dziedzictwem pozostawionym nam przez urodzoną w Barcelonie babcię, która zmarła dwadzieścia pięć lat temu.

– Opowiedz mi, co się właściwie stało.

Usłyszałam, jak Anna ciężko wzdycha do słuchawki.

– To się zdarzyło tuż przed południem. Abuelo poszedł nakarmić ptaki w klatce na zewnątrz, tak jak każdego dnia o tej porze. Po mniej więcej dwudziestu minutach, gdy nadal nie wracał, Alice poszła po niego i znalazła go leżącego w klatce pośród ptaków. W pierwszej chwili pomyślała, że to atak serca, rzecz jasna, z powodu tych wszystkich problemów, jakie miał w przeszłości. Natychmiast wezwała pogotowie, lecz sądziła, że nie uda im się go uratować.

– Zawieźli go pewnie do Châlons, jak przypuszczam?

– Tak.

– Co mówią lekarze?

Anna zawahała się, tak jakby każde słowo z diagnozy, które zamierzała powtórzyć, mogło cokolwiek zmienić.

– Mówili o... zatorze w mózgu. Myślą, że w sercu wytworzył się skrzep, który przedostał się do mózgu i zatkał tętnicę. Nazywają to niedokrwiennym udarem mózgu.

– Czy wyjdzie z tego?

– Stan jest stabilny, ale część mózgu była przez bardzo długi czas niedotleniona z powodu tego zakrzepu... Więc nawet jeśli Abuelo przeżyje, to nie wróci już do dawnego stanu zdrowia.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Kupiłem już bilet na pociąg do Châlons. Miałem zamiar przyjechać jutro rano.

– Jutro rano – powtórzyła – byłoby dobrze, tak.

Podaliśmy jej godzinę przyjazdu pociągu. Ustaliliśmy, że wyjedzie po mnie samochodem na dworzec.

– Co się w ogóle stało, Aurélien?

– Mówisz o Abuelu?

– Nie, mówię o nas, o tobie i o mnie. Co się z nami porobiło? Dlaczego nie może być tak jak kiedyś?

W całym moim życiu bardzo rzadko płakałem, nie byłem w stanie płakać nawet wtedy, gdy zmarł mój ojciec. Zawsze miałem problem z okazywaniem uczuć. A jednak w tym właśnie momencie wiadomość o nagłej chorobie dziadka i rozbijające słowa siostry o mało nie doprowadziły mnie do łez. Zebrałem się w sobie, żeby potraktować pytanie Anny jak zadanie matematyczne, które byłoby mi naprawdę trudno rozwiązać.

– Nie wiem, siostrzyczko... Naprawdę nie wiem.

Mógłbym tak powtarzać tę formułkę w nieskończoność, żeby tylko nie być zmuszonym do odpowiedzi.

– Czy moglibyśmy porozmawiać o tym wszystkim jutro? – zaproponowałem wreszcie na koniec.

– Masz rację, zajmijmy się tym później.

Wraz z upływem czasu udało mi się wypracować umiejętność unikania niewygodnych rozmów, czy też odkładania konfrontacji i wyjaśnień na następny dzień. Właśnie tego Laurence nie była już w stanie dłużej u mnie znieść. A przecież chciałem się zwierzyć Annie, opowiedzieć jej o moim spokojnym, kompletnie rozbitym życiu, wyznać, że także w stosunku do niej nie udało mi się stanąć na wysokości zadania, wzięwszy pod uwagę problemy, z jakimi musiała borykać się w ciągu kilku ostatnich

lat.

Tego wieczoru jednak nie powiedziałem ani słowa. Anna wymykała mi się, a ja przed nią uciekałem.

Nie byliśmy nawet zdolni unieść wspólnie tego banalnego doświadczenia sprawiającego, że nieszczęścia zbliżają ludzi do siebie.

### 3

Siostra czekała na mnie na dworcowym peronie.

Jeszcze teraz widzę, jak siedzi w jasnej sukience i ciemnym żakiecie z krótkimi rękawkami na pokrytej popękaną farbą ławce, kołysząc z roztargnieniem torebką, widzę, jak podnosi na mnie wystraszony, prawie niedostrzegalnie umykający gdzieś w przestrzeń wzrok, który sprawiał, że była mi tak bliska. Podeszła do mnie i rzuciła mi się w ramiona – w przyptywie uczuć, których okazywanie stało się między nami czymś tak rzadkim, aż musiałem się powstrzymać, by się lekko nie cofnąć. Rozluźniła uścisk i popatrzyła z wyrzutem na moją sportową torbę.

– Nie masz z sobą nic więcej?

– Zostaję tylko do niedzieli. I tak już odwołałem dzisiejsze zajęcia. Jak on się czuje, coś się zmieniło od wczoraj?

– Zawiozłam Alice do szpitala dziś rano, około wpół do ósmej. Chciała tam być jak najwcześniej, choć pielęgniarki trochę krzywo na nią patrzyły. Nie ma żadnych nowych wiadomości. Lekarze czekają. Mają mu zrobić tomografię mózgu albo rezonans magnetyczny, sama już nie wiem... – Szła szybkim krokiem ze wzrokiem utkwionym w jakiś niewidoczny

punkt, gdzieś na końcu peronu. – Właściwie myślę, że on z tego już nie wyjdzie – dodała bezbarwnym głosem, odgarniając z czoła niesforne kosmyki kasztanowych włosów. – Rokowania są znacznie bardziej pesymistyczne, aniżeli dałam ci do zrozumienia wczoraj, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– Tak podejrzewałam – skłamałam, aby nie czuła się winna.

\*

Na zewnątrz, na parkingu, przed wielką, staroświecką fasadą dworca w Châlons-en-Champagne czekał na nas gruchot Anny, kupiony okazynie renault 19, odkąd pamiętam auto wiecznie porysowane i poobijane, które nazywałam „karawanem”, zarówno ze względu na kolor burgunda, jak i dlatego, że za każdym razem, gdy się do niego wsiadało, ryzykowało się utratę życia.

Pas bezpieczeństwa od strony pasażera nie chciał się wysunąć. Siostra przełożyła rękę nad moim ramieniem, kilkakrotnie pociągnęła energicznie i ze znajomością rzeczy, aby odblokować pas.

– Przykro mi, ale taka już jego parszywa uroda...

Uśmiechnąłem się do niej. Anna włożyła kluczyk do stacyjki, silnik zakrzuszył się. Znowu kilka razy przekręciła kluczyk.

– Jesteś pewna, że nie zalejesz silnika?

– Nie przejmuj się, mam wprawę.

W końcu samochód ruszył, wydając z siebie dosyć niepokojące dźwięki.

– A może pojechalibyśmy od razu do szpitala, do Alice, co ty na to?

– Oczywiście, jasne, że tak – odpowiedziałem, wodząc błędnym wzrokiem przez zaporowaną szybę, gdy przejeżdżaliśmy przez most na Marnie.

Po niespełna dziesięciu minutach dojechaliśmy do szpitala w Châlons. Podążałem za Anną idącą korytarzami pewniejszym ode mnie krokiem.

Dziadek leżał na oddziale intensywnej terapii. Jego widok na szpitalnym łóżku, z kroplówką podłączoną do przegubu i z całą masą różnych rurek wystających mu z ust i z nosa, był dla mnie nad wyraz bolesny. Wiedzieliśmy, że jest już stary i któregoś dnia od nas odejdzie, a mimo to trudno było nam sobie wyobrazić życie bez niego.

Alice, z którą spotkaliśmy się w korytarzu obok szpitalnej sali, wyznała mi:

– Nie wiem dlaczego, ale wczoraj rano miałam jakieś dziwne przeczucie.

– Abuelo nie czuł się dobrze? – zapytałem.

– Nie, nawet nie o to chodzi. Kiedy wyszedł nakarmić ptaki, patrzyłam za nim przez okno w kuchni, jakbym wiedziała, że widzę go po raz ostatni.

W tym momencie odzywa się we mnie mój wewnętrzny sygnał alarmowy: przede mną rysuje się nieciekawa rozmowa, w której nie będę umiał znaleźć odpowiednich słów.

– Nie martw się, dziadek jest tutaj, tuż obok. Nie martw się...

Alice nie była naszą babcią, ale zawsze traktowaliśmy ją tak, jakby nią była. W połowie lat sześćdziesiątych, chcąc przyciąć żywopłot w ogrodzie przy domu w Arvillières, mimo że zatrudniał dwa dni w tygodniu ogrodnika do najbardziej niewdzięcznych prac, dziadek nieszczęśliwie upadł i złamał sobie głowę kości udowej. W wyniku komplikacji po wymianie stawu biodrowego poważna infekcja unieruchomiła go na okres kilku miesięcy. Alice została wtedy jego opiekunką. Była kobietą czułą, łagodną, cierpliwą, oddaną, sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie troszczyła się o swój własny komfort. Co do jej



przeszłości, wiedzieliśmy jedynie, że bardzo wcześnie owdowiała i nie miała dzieci. Bez żadnej przesady mogę powiedzieć, że uratowała mojego dziadka, który wtedy bardzo cierpiał po niedawnej śmierci żony, a ona nie pozwoliła mu po tym wypadku pograć się w rozpacz i beczynności. Od tamtego czasu w ogóle się nie rozstawali.

Trudno byłoby mi określić, na czym dokładnie polegała istota ich relacji. Wobec swoistej niemożności, jaką odczuwamy, próbując przenieść się w czasie o kilkadziesiąt lat, nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby wyobrażać sobie, iż przeżywają prawdziwe miłosne uczucie. Widzieliśmy w ich związku tylko połączenie czułości, bliskości i pragnienie ucieczki, zarówno w jej, jak i w jego przypadku, przed samotnością. Ale też nigdy nie zdarzyło mi się spotkać dwojga ludzi tak mocno do siebie przywiązanych.

Alice zgodziła się wrócić z nami do Arvillières, ale „tylko na parę godzin”, żeby zjeść razem obiad i pomóc mi się rozłokować.

Kiedy stary samochód Anny przejechał przez bramę wjazdową, poczułem jakby ułknięcie w sercu. Już ze względu na samą nieobecność dziadka posiadłość wyglądała zupełnie inaczej.

Między nami miejsce to nazywaliśmy zawsze „domem w Arvillières”, chociaż ludzie w okolicy mówili o „dworku Cochetów”; był to duży budynek wzniesiony na początku wieku, liczący jakieś piętnaście pokoi na trzech kondygnacjach – z fasadą z szarego kamienia, wystającą, szachulcową wieżyczką, zwieńczony wysokimi kominami. W parku o powierzchni około hektara rosły stuletnie kasztanowce. Przed domem witało gości ostatnie i raczej wzbudzające śmiech świadectwo chlubnej przeszłości rodziny Cochetów: olbrzymia fontanna z brązu.

Na początku XIX wieku, w pierwszych latach panowania Karola X Victor Cochet przekształcił niewielką rodzinną firmę

specjalizującą się w produkcji żeliwnych odlewów do odprowadzania spalin z kominów w niezwykle dochodowe przedsiębiorstwo wytwarzające ornamenty i elementy dekoracyjne. W młodości żywił ogromną pasję do sztuki, marzył, że zostanie malarzem w Paryżu, bardziej prozaiczne oczekiwania rodziców położyły jednak kres jego ambicjom. Z całej duszy nienawidził merkantylnej postawy swojej rodziny, ale nie odważył się sprzeciwić jej decyzjom. Gdy przejął przedsiębiorstwo, wpadł na śmiały pomysł, który pozwolił mu, wprawdzie trochę późno, wziąć rewanż na rodzicach: opracował projekty rzeźb, fontann, kandelabrow, których wykonanie powierzył pracownikom swojej odlewni w Szampanii. Zaskoczeni tym, co uważali za kaprys nowego szefa, ale też zaniepokojeni przyszłością firmy, w pierwszym okresie z trudem dostosowywali się do wymogów odlewnictwa artystycznego, chociaż posiadali w tym zawodzie spore doświadczenie. Nie wahając się zadłużyć i rzucić na szalę dalszych losów przedsiębiorstwa, Victor zatrudnił wówczas najlepszych paryskich rzemieślników, którzy przekazali swą wiedzę pracownikom rodzinnej firmy. I wygrał na tym: w ciągu kilku zaledwie lat firma Cochet z sukcesem zaczęła rywalizować z odlewniami Calli i Muela. Victorowi udało się wzbogacić i uczynić z niewielkiego zakładu świetnie prosperujące przedsiębiorstwo dzięki pasji, od której tak skutecznie odwodzono go w młodości.

Zmarł w roku 1887 w wieku osiemdziesięciu pięciu lat jako człowiek bogaty, podziwiany, pozostawiwszy po sobie dwoje dzieci, które roztrwonili rodzinny majątek, czego na szczęście nie musiał już oglądać. Jean-Charles Cochet, starszy z dwóch synów, mój pradziadek, nie odziedziczył po ojcu ani artystycznego talentu, ani jego prostoty i pracowitości. Na jego usprawiedliwienie trzeba przyznać, że w czasie, gdy odziedziczył

przedsiębiorstwo ojca, odlewnictwo artystyczne we Francji zaczynało chylić się ku upadkowi. Przez pewien czas bywał na paryskich salonach, obracał się w towarzystwie bogatej burżuazji, prowadził beztroskie, rozrzutne życie, zadurzył się w tancerce z opery paryskiej, przez jakiś czas zajmował się polityką, ale i to okazało się zajęciem bez przyszłości. Był kiepskim ojcem, najczęściej nieobecnym i obojętnym.

Sprzedaż odlewni za nędzne grosze pozwoliła na pokrycie zaledwie części rosnących długów. Z całej rodzinnej fortuny udało mu się uratować jedynie posiadłość w Arvillières i kilka lokat, które zdołał ukryć przed swoimi wierzycielami.

Mój dziadek dorastał w cieniu tego człowieka; żywiąc do niego ogromną niechęć przez całą młodość, przysięgał sobie, że za nic nie będzie taki jak on. Pamiętam jednak, że kiedy byliśmy dziećmi albo nawet już nastolatkami, nigdy o swoim ojcu nie mówił źle, starał się go raczej usprawiedliwiać i ratować to, co uratować jeszcze było można.

Abuelo podjął studia medyczne, a potem wyspecjalizował się w ginekologii i położnictwie. Z dyplomem w kieszeni i pełen szczytnych ideałów, chcąc zapewne przeciwstawić się egoizmowi ojca, dołączył do wolontariuszy niosących pomoc rodzinom zamkniętym w obozach w Pirenejach Wschodnich, uchodźcom, którzy po zwycięstwie generała Franco w 1939 roku uciekli z Hiszpanii. Uczestniczył więc, można by rzec, w pierwszych współczesnych konwojach z pomocą humanitarną. Moja babcia Constanza, której prawie z Anną nie znaliśmy, pochodziła z hiszpańskiej rodziny republikańskiej, która wyjechała z Barcelony wkrótce po zdobyciu miasta przez falangistów. Spotkali się w obozie w Argelès-sur-Mer, gdzie stłoczono dziesiątki tysięcy ludzi w przerażających warunkach sanitarnych. Ludzie umierali tam z zimna, niedożywienia, na dyzenterię.